

Kilka tygodni po wydarzeniach na bagnach, klucząc podczas ucieczki przed pogonią Spiecsłużby trafił do zapomnianego przez los przysiółka. Jedna z chat stała pusta, w drugiej mieszkała młoda wdowa przy nadziei. Udzieliła mu schronienia, a on jeszcze tej samej nocy pozbawił jej nadziei długim, zakrzywionym nożem. Nie chciał, błagał, bronił się przed tym strasznym czynem jak mógł, ale Metah użył resztek swojej mocy do poprowadzenia jego niechętniej ręki. Dusza nienarodzonego dziecka to był dla niego nie lada kasek. Duchowa, magiczna bomba kaloryczna. Gdy wchłonął świeżo zdobytą energię z Sajmonelli i zapadł w Midraj, młody żerca padł na ziemię przy ciele zaszlachtowanej kobiety i przeplakał całą noc. Wypłukał z siebie wtedy wszystko – strach przed mistrzem, gniew, chęć do życia. Nie zdążył go sobie jednak odebrać. Wybudzony rozpaczliwymi emocjami ucznia mag w ostatniej chwili przejął fizyczną kontrolę nad jego ciałem. Ogarnięty nienawistną wściekłością wytarł Sajmonellą wszystkie ściany w chacie, a potem rzucił nim jak skrwawioną szmatką obok skostniałego ciała gospodyni.

Dwa dni później do przysiółka zawitał pewien znajomy wdowy, myśliwy. Zaskoczony brakiem świeżych śladów stóp na śniegu przed chatą, wszedł do środka. Rozszerzonymi źrenicami wchłonął makabryczny obraz wnętrza, nie uрониwszy jednak ani słowa. Gdy zobaczył pusty wzrok nieznanego, trzymającego za skrwawioną dłoń trupa kobiety, nie zadawał zbędnych pytań. Obił chłopaka, skrępował i zawlókł do najbliższej wioski, przed oblicze miejscowego sołtysa.

Na wschód od masywu Sieriebatki administracja państwowa prawie nie istniała – nie sprawdzała się w przeszłości tak bardzo, że uznano koszty jej utrzymania za „niewspółmierne”. Nie było żadnych państwowych urzędników, poborców podatkowych czy sędziów. Poza Tosen, jedynym miastem Sfornych Terytoriów, w którym improwizowaną władzę sprawował hrabia ze starego szlacheckiego rodu. Na prowincji kierowano się najczęściej prawem linczu. Bardzo hołubionym. Autochtoni wysoko cenili sobie możliwość bezpośredniego decydowania o życiu i śmierci. Swojej lub cudzej. Najchętniej cudzej.

Trudne warunki życia na ogarniętych chłodem terenach sprawiały, że mieszkańcy poszczególnych wiosek dbali o siebie nawzajem i przelew krwi wewnątrz tych społeczności należał do rzadkości. Sprawy miały się jednak zupełnie inaczej gdy w grę wchodził sąsiedzi. U zarania dziejów, na Sfornych Terytoriach krwawe właśnie pomiędzy osadami były częstym zjawiskiem - zwłaszcza zimą, kiedy głód dociskał nerwy mocniej niż zwykle. W celu opanowania sytuacji, ustanowiono sołtysów, wybieranych co prawda spośród współmieszkańców, ale opłacanych i kontrolowanych przez państwo. Mianowani dożywotnio, mieli pełnić funkcje rozjemcze, tonować nastroje, likwidować konflikty w zarodku. Z początku efekty ich działalności były skromne, a sami sołtysi padali jeszcze ofiarą niezrozumienia korzyści wynikających z ich obecności. Czasem podawano im kubek wody przed śmiercią, a czasem przekręcano tylko nóż pod żebrami. Z biegiem lat i generacji urząd nabrał jednak właściwego znaczenia i powagi. Duży udział w procesie „poszanowania” funkcji odegrała z początku także Spiecsłużba, aktywnie wspierająca lokalne przemiany ustrojowe. Jak bardzo aktywnie – tego zawleczonego przed oblicze sołtysa Sajmonella miał się niebawem dowiedzieć.

Młody żerca otworzył oczy i przetarł dłońmi twarz. Nie chciał rozpamiętywać tego, co było potem. Mimowolnie potarł jedną z blizn na ramieniu. *Sforne Terytoria, psia mać*. Otrząsnął się i ruszył dalej w las, starając skupić się na robocie.

Słońce zdążyło już dawno przekroczyć granice zenitu, zima powoli dobiegała końca w lepszych częściach świata. Tutaj zawsze przesiadywała trochę dłużej. W oddali pomiędzy drzewami dostrzegł jakiś ruch. Zmrużył oczy. Ciemna, niewyraźna sylwetka mignęła ponownie na tle niskich świerków. To na pewno nie było zwierzę. Zaintrygowany, pchnięty iskierką nadziei począł zbliżać się ostrożnie w tamtym kierunku. Kilkanaście metrów od celu zatrzymał się i przykucnął za przewróconym pniem.

Na niewielkiej polanie krzątał się przy sidłach jakiś chłopiec. Zgrabiałymi z zimna palcami starał się doprowadzić do porządku poplątane, przemarznęte linki. Rozczochrana, kruczoczarna czupryna oblepiająca skronie i zasmarkane rękawy wskazywały na to, że on też wałęsał się po lesie przynajmniej od świtu. Najwyraźniej z podobnym rezultatem – nie miał przy sobie nawet zdechłej wiewiórki.

Sajmonella obserwował dzieciaka przez kilka minut, rozglądając się co jakiś czas wokół. Wyglądało na to, że mały kłusownik był sam – nikt się nie pojawił, ani razu też za nikim się nie obejrzał. Skupiony na żmudnym zajęciu zapominał chyba o całym świecie. Jego ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej niecierpliwe. Kilka razy jęknął z frustracją. *Pewnie to jego ostatnie wnyki.* Żerca dobrze go rozumiał – widmo głodu to najstraszniejsza ze zjaw.

Mężczyzna sięgnął powoli za pazuchę, przesunął kciukiem po ostrzu zakrzywionego noża. *Wystarczy*, pomyślał. *Może chociaż jeden z nas będzie miał dzisiaj szczęście.* Nie zamierzał wybrzydzać – energia życiowa nieco starszych dzieci nie była najlepszej jakości, ale lepsze to niż nic. Gdyby to było niemowlę, to co innego. Czysta, pełna niewykorzystanej jeszcze witalności dusza noworodków ustępowała jakością tylko zaprawionej w bojach duchowych energii prawiczków. Łowca płynnym ruchem przywrócił się do pionu, starając się nie zaburzyć zastanej ciszy. Jego pan i tak będzie zadowolony, okolica nie obfitowała w ludzkie zasoby energetyczne. Obecna ostatnio w jadłospisie sarnina miała co prawda smaczne mięso, ale za to aurę niemal zupełnie do dupy.

Żerca wychynął cicho zza oblepionych białym puchem świerkowych igieł. Starał się sunąć najciszej jak potrafił, ale gęsta śnieżna pokrywa szybko załamała się pod jego stopami z głośnym chrupnięciem. Chłopiec poderwał głowę, kompletnie zaskoczony.

- Cześć, dzień dobry – zagaił miękkiem głosem uczeń czarnoksiężnika. Otrząsnął się teatralnie z kilku płatków śniegu. Nonszalancja zazwyczaj dawała najlepsze efekty. – Ależ dzisiaj zimno! – Skinął głową na czerwone dłonie chłopaka. - Może pomóc?

Młody myśliwy spojrzał na swoje zgrabiałe od zimna ręce jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z ich stanu. Miał na oko jakieś dwanaście lat, ale trudne życie w ostępach szybko oduczyło go zwracać uwagę na nieistotne szczegóły. Rozprostował machinalnie palce i potarł o siebie dłonie. Spojrzał na przybysza spode łba.

- Kiepsko, co? – Sajmonella rzucił okiem na poplątane sidła. – U mnie dzisiaj podobnie, nic nie chwyciło, tylko dziki poszarpały linki. Ciężka ta zima.

Chłopiec zgarbił się lekko, spuszczając głowę w geście rezygnacji. W jego głowie walczyły ze sobą przekonanie o przymusie istnienia i kielkujący bunt wobec przymusów jakichkolwiek. Widział to w jego zrozpaczonej spojrzeniu.

- Jak Ci na imię? – ciągnął dalej były fajter. – Ja jestem Sajmonella. Tak, wiem, prawie jak ta choroba. Przyjaciele mówią mi Sajmi.

- Joszko – rzucił nieco zajęknionym tonem chłopiec. Obrzucił pułapkę sfrustrowanym spojrzeniem, wzdychając ciężko. Był bliski płaczu.

- Miło mi cię poznać, Joszko. Chyba widziałem cię tu już kiedyś. Często tu polujesz?

- Często. – Młody myśliwy oderwał się na chwilę od swoich czarnych myśli. Podniósł się szybko, zauważalnie spięty. Dotarło do niego, że jest w lesie sam. Prawie. – A ty?

- Ja też, mieszkam niedaleko. Rozkładałam wnyki tu i tam, ale wiesz jak to jest zimą. Głównie chodzę po lesie szukając korzonków.

- No właśnie... - Chłopiec bacznie obserwował każdy ruch Sajmonelli. Przełknął głośno ślinę. – I... i coś znalazłeś?

Były fajter uśmiechnął się w duchu, widząc pełne nadziei, głodne oczy malca. Wydobył zza pazuchy kilka zasuszonych płatów mięsa. Joszko poruszył się niespokojnie.

- Masz, jedz, aż żal patrzeć na kolegę myśliwego – odparł przesadnie strapionym głosem. Młody kłusownik niemal zachłysnął się rzuconą mu porcją, uśmiechając się z wdzięcznością. Po całym dniu spędzonym na przeszukiwaniu sideł poczuł się doceniony. „Kolega myśliwy”. Chociaż nieraz wykonywał dorosłe prace, w domu zawsze traktowano go jak dziecko. Obcy napotkany w lesie go rozumiał, znał jego rozterki i trudy. Rozmawiał z nim jak równy z równym.

- Spokojnie, gryź! – zaśmiał się wesoło Sajmonella, patrząc na niego z bezinteresowną sympatią. Chłopak odwzajemnił radość swobodnym spojrzeniem. *Gładko poszło*, pomyślał żerca. Zadzierzgnął cienką nić zaufania jak sznur na szyi wisielca. Sam też pochłonął kilka kęsów dziczyzny dla scementowania pierwszego wrażenia, po czym odchrząknął.

- Jesteś tu sam? Dasz sobie radę? Idę jeszcze obejrzyć ostatnie wnyki, mam takie swoje sekretne miejsce, gdzie zawsze coś się złapie. – Mrugnął porozumiewawczo, obracając się w kierunku zwartej ściany drzew po swojej lewej. Joszko drgnął nerwowo, jakby chciał ruszyć za nim, ale nieufność nagle powróciła. Intuicja nakazała mu pozostać w miejscu, zaczekać. Rozterki powróciły. Sajmonella udał, że tego nie widzi.

– No to co... udanych łowów! Ja znikam, niedługo zacznie się ściemniać...

Były fajter ruszył żwawym krokiem w kierunku gęstwiny. Kilkadziesiąt metrów później usłyszał za sobą lekki chrupot śniegu pod czyimiś stopami. Obejrzał się dyskretnie, mijając kolejny świerk. „Kolega myśliwy” podążał za nim w bezpiecznej odległości. Żerca uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Rybka chwyciła haczyk.

.....

Nienachalny estetycznie leśny zakątek pasowałby do każdego innego miejsca w puszczy, ba, do każdej innej puszczy. Nie wyróżniał się niczym – był jednym z tych miejsc, które przez wzgląd na swoją nijakość tworzyły idealny labirynt. Wpadłszy raz pomiędzy identycznie zielone świerkowe igliwie, człowiek miał wrażenie, że z każdym krokiem do przodu cofał się ponownie do „początku” lub przynajmniej chodził w kółko. Zielone kaftany drzew były jak okrzyk tłumy – nieokreślone, przytłaczające, takie same

z każdej strony świata, choć tych akurat nie sposób było tutaj dociec.

W miejscu tym, zupełnie niepozornym, panowała tego dnia zimowa cisza. Nie ta jesienna, szemrana suchymi trawami i wiatrem, ani nie wiosenna, wybrzeczana skrzydłami trzmieli na łąkach. Zimowa – przytłaczająca bezruchem przyrody i powietrza, wyrównana jednolitą warstwą śniegu na gruncie, owinięta w szare tło nieba.

No, może nie do końca jednolitą. Pod jednym ze świerków bez twarzy ziemia została rozbełtana niezbyt głębokim wykopem. Świeżo zasypyany grób mógłby stanowić punkt orientacyjny dla zagubionego w tych stronach wędrowca, gdyby zima nie postanowiła schować go pod swój kożuch. Sajmonella mruknął z zadowoleniem. Padający coraz gęściej śnieg zatrze krew, wyrówna mogiłę, usunie ślady jego butów. Do niedalekiej wiosny może nawet zapomną o chłopaku – w końcu i tak na pewno go już nie znajdą.

Żerca ruszył z powrotem, po znikającym z wolna tropie. Miał nadzieję dotrzeć do opuszczonej wsi nim zaskoczy go ciemność. I wilki.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Sajmar, dodano 12.08.2022 21:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.